

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

28

Jakób Klugfeder w pierwszej chwili wytrzeszczył oczy na tę niespodzianą uwagę brata. Potem roześmiał się głośno i machnąwszy ręką zawołał z wesołym politowaniem:

— Oj! Moryc! Moryc!

— Moryc jest taki do interesu, jak koza do pieprzu! — zawtórował mu rubaszenie Goldbaum.

Klugfederowa rzuciła mężowi złe, pogardliwe spojrzenie. Zato ciemne oczy Rózi spoczęły na twarzy kuzyna z wyrazem sympatii i współczucia.

— Ty jesteś dobry, uczciwy człowiek, Moryc! — szepnęła mu.

— Ja jestem prosty człowiek — odparł równie cicho i zwrócony wyłącznie do niej. — Ja wiem, że co białe, to białe, a co czarne, to czarne.

Rózia nie słyszała tej odpowiedzi. Spojrzenie jej zawisło znowu u wskazówek zegara. Pierś podnosiła się szybszym oddechem. Załedwie kilka minut jeszcze!

Goldbaum z przyjacielskim uśmiechem mówił teraz do Leona:

— To są bardzo ładne interesy! Das ist alles gut! Tylko żeby oni pana nie posłali na front, panie Leon.

— Co? Na front? Pan się potrzebujesz wyśmiać z tego! Ja tutaj zo...

Nie dokończył słowa i z otwartymi ze zdumienia ustami wpatrzył się w Rózię, która w tej chwili, rozogniona nagłymi rumieńcami, ze słukiem odepchnęła swoje krzesło i bez słowa jakiegokolwiek usprawiedliwienia, wybiegła z pokoju jak szalona.

— Was ist! — krzyknął Goldbaum.

Oczy pani Meli biegały niespokojnie. Zaczynała się czegoś domyślać.

— Rózię pewnie mocniej rozboleła głowa — wtrąciła pospiesznie, chcąc zażegnać burzę.

— Ajej!... — jęknęła Goldbaumowa — Ona chora! Ja muszę zaraz iść za nią. Może ona będzie potrzebować zimny okład!

— Ty idź! — rzekł krótko mąż.

Goldbaumowa kołysząc swoje opasle, błyszczącym jedwabiem obciągnięte ciało, potoczyła się do pokoju córki.

Pokój był pusty.

— Rózia! — zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

Goldbaumową jakiś strach chwycił. Co to jest? Co to znaczy? Gdzie Rózia? Może służąca ją widziała?

Jak mogła najszybciej podreptała do kuchni.

— Jagusia, ty widziała teraz pannę Rózię?

— A pewnie, że widziałam! — odrzuciła Jagusia, spoglądając drwiąco na swoją chlebowczynię. — Poleciała do oficyny! Nawet szalika nie zarzuciła na siebie ani żakiet!

— Do oficyny?

W borych, niewielkich oczach dziewczyny migotały ogniki złośliwego zadowolenia. Jagusia rada była, że może porządnie dokuczyć „żydowicy”.

— Musiała się przecież pożegnać z tym paniczkiem z drugiego piętra, z tym legi-jonistą, bo w tej minucie odjeżdża na kolej.

Goldbaumowa osłupiała. Nie rozumiała nic.

— Jagusia! Co ty za głupstwo potrzebujesz gadać!

— To nie jest żadne głupstwo! Prawie cała kamienica wie, że panna Rózia z tym panem Tadziem...

Urwała nagle i ugryzła się w język. Dziewczyna była harda, dokuczliwa. „pyskała”, ale nie była z gruntu złą. I teraz żałowała, że zrobiła Rózi, którą tak nieopatrznie zdradziła.

No, nic w tym niema złego — usiłowała naprawić swoją gadałliwość. — O! zwyčajnie jak młodzi. On pojedzie i tyle się będą widzieli. Nie potrzebuje też pani zaraz panu o tym gadać.

Zatłuszczone bezmyślne zwykle oczy Goldbaumowej nabrały jakiegoś żywszego wyrazu. Zapaliły się w nich na chwilę jakieś wilgotne błaski.

Brwi podniosła wysoko w górę, fałdując czoło w grube zmarszczki. Leniwy, odwykły od samodzielnego myślenia mózg pracował z wy-

siłkiem. Coś pochwytywał, kombinował, przypominał może. A w tej trudnej pracy dopomagała mu siła wielka, cudowna, siła miłości macierzyńskiej.

— Ty powiadasz, Jagusia — rzekła po długiej chwili matka Rózia — że panna Rózia nie włożyła żakiet? Ona się może zaziębić. Ty weź szal i zanieś jej zaraz.

Zamyślona, wolnym krokiem wróciła do jadalni.

— Rózię naprawdę bardzo boli głowa — skłamała gładko. — Ona się potrzebuje trochę położyć. Jak jej będzie dobrze, to ona tutaj przyjdzie.

Goldbaumowa postanowiła sobie, że ani pani Meli, ani nawet mężowi nie powie co znaczył właściwie ten gwałtowny ból głowy jej córki.

ROZDZIAŁ VII.

Dwa razy dwa jest cztery.

Kazimierz Rawicz wracał do domu już dobrze po otwarciu bramy. Był niewyspany, zły, zmęczony, rozdrażniony. Cere miał poślizgi dzisiaj i jakby zmięta. W głowie czuł przykry ciężar, a całą jego istotą władał zarówno moralny jak fizyczny niesmak.

— A bodaj tego wampira!... — mruknął, myśląc o Luli Kalińskiej. — I po co ja tam znowu lazałem!

Wszedł na drugie piętro i wolnym krokiem zdążył przez długi ciemnowy korytarz do swego mieszkania.

Korytarz ten przypominał hotelowy, tyle w nim było drzwi. Na jednych z nich widniał bilet wizytowy z nazwiskiem: Emilia Widlińska.

Kiedy Rawicz przechodził obok tego mieszkania, ktoś z zewnątrz odsunął metalową zasłonkę okragłego okienka. W okienku błysnęły jakieś oczy i w tej samej prawie chwili otworzy się drzwi, energicznie szarpnięte.

— A ślicznie! ślicznie!... — zawołała młoda, przystojna kobieta, a oczy złoto-piwe pały gniewem.

Od zimna osłoniła się grubym pledem, który zacierał linie jej ciała. Ale ruchy żywe, zgrabne, zdradzały, że musi być kształtna i giętka. Twarz świeża, lekko zaróżowiona, ujęta w ramy jasno kasztanowatych, bujnych, falistych włosów nie odznaczała się wprawdzie regularnością rysów, ale miała swój specjalny, drażniący wdzięk. Dolna warga, czerwieńsza i pełniejsza od górnej, wysunięta nieco naprzód, nadawała całej fizyognomii, niezmiernie ruchliwej i tryskającej temperamentem, wyraz trochę dumny, trochę pogardliwy.

W tej chwili ładna kobietka była wyraźnie rozgniewana. Nozdrza jej krótkiego, odrobinkę za szerokiego noska poruszały się szybko, jak u młodego żrebca.

— Ślicznie! — powtórzyła — cudownie!... O tej godzinie wraca się od... no już nie powiem od kogo! A tam, w mieszkaniu, znowu jakaś czeka!

Kazimierz Rawicz zmierzył ją spojrzeniem. Marzycielskie, zadumane oczy jego dziwnie się zmieniły. Miały teraz w sobie ostre połyski stali i odpychały lodowatym chłodem.

— Czego pani sobie życzy? — zapytał krótko, szorstko i wyniośle.

Pani Mila Widlińska zmieszała się i opuściła wzrok ku ziemi. Wobec innego mężczyzny nie zapominała napewno swego obrotowego, często zuchwałego języczka, ale Rawicz posiadał dar imponowania jej zawsze umiał ją poskromić.

O! teraz chciała mu zrobić awanturę, najsluszniej w świecie. No i nie pozwolił na to! Odrą, jednym spojrzeniem, samym dźwiękiem głosu, zahamował wzbudzony potok wymowy obrażonej, zazdrosnej kobiety.

I tak bywało od początku ich znajomości.

Pani Mila jest „słomianą” wdówką. Mąż jej od trzech lat przebywa na różnych frontach bojowych, a młoda żona nudzi się sama i tęskni. Co prawda teraz tęskni daleko mniej, kiedy poznała pięknego Kazimierza Rawicza.

Od roku mieszkają w tym samym korytarzu, nic więc dziwnego, że zawiązała się między nimi znajomość poufalsza, nawet bardzo poufala. Boć „wojenka” coś za długo, jak mówi piosenka, a pani Mila jest młoda, ponętna, pełna temperamentu, a Rawicz taki piękny i niezwykle inte esujący.

Tylko jakoś nie umiała sobie z nim radzić. Nie ona nad nim, ale on nad nią panował. Zdanych kaprysów nie uznawał, scen i awantur

nie znosił. Ilekroć ładna sąsiadka usiłowała „stroić fochy”, on od razu robił minę wielkiego pana, który karci impertynencję kogoś nieskończenie niżej od siebie stojącego.

I tem właśnie „brał” ją.

— On jest zupełnie inny niż wszyscy mężczyźni na świecie — myślała nieraz. — Taki piękny, taki mądry, że wolno mu być dumnym.

I teraz, dając za wygraną gniewom, bąknęła nieśmiało, tak jak gdyby to ona była winowajczynią:

— Ja... ja chciałam panu tylko powiedzieć, że tam, w pańskim mieszkaniu jest jakaś dama.

Kazimierz tak się zdumiał i zaniepokoił, że wypadł z roli obrażonego.

— Jakaś dama?

— A tak. Rozporządza się, jakby u siebie w domu. Zawołała stróżkę i kazała jej zapalić w piecu.

Rawicz pożegnał sąsiadkę dosyć niedbałym ukłonem i pospieszył ku drzwiom swego mieszkania, zachodząc w głowę, kto to jest owa dama, która tak śmiało sobie poczyną. I jak się tam dostała? Bo stróżka ma wprawdzie zapasowy klucz do pokoju, ale zakazał jej przecie raz na zawsze dawać go komukolwiek.

— Czyby to Walerka?... No, damże ja jej!

Z irytacją nacisnął klamkę i wszedł. Wysoka, ciemnowłosa, trzydziestokilkuletnia kobieta oderwała wzrok od maszyny naftowej, na której gołowała herbatę i odwróciła ku wchodzącemu głowę.

W jednej chwili zmienił się wyraz twarzy Rawicza. Piękne jego rysy rozjaśniły się uśmiechem przyjemnego zdziwienia.

— Wacka! — zawołał — Co za niespodzianka!... Skądże się wzięła?

Wacława Rawiczówna podbiegła do brata. Rodzeństwo przywitało się serdecznie, przyjacielsko.

— Wcześniej wracasz do domu, mój Kaziu! — zauważyła z uśmiechem Wacława.

— Ech Waciu, widzisz, to... — zaczął, ale spotkawszy mądre, przenikliwe spojrzenie siostry, urwał zaraz.

— Dajno spokój, Kaziu! Nie potrzebujesz blagować! Po pierwsze i tak ci nie uwierzę, po drugie nie jestem mamą. Nie mam zamiaru prawić morałów.

Brat roześmiał się, ale znać było po nim, że jest trochę zakłopotany.

— Psie zimno tu było u ciebie — mówiła dalej Wacława — kazałam stróżce zapalić i przyrządziłam herbatę. Ale tybyś wolał może czarną kawę? Pewnie cię głowa boli...

— Ależ nie! — zaprzeczył, zdejmując palto i wieszając je w szafie. — Myślisz może, że piłem... Nigdy w życiu!

— Prawda, prawda, wzorowy braciszku! Zapomniałam, żeś ty prawie zupełny abstynent! Nie pijesz, nie palisz, nie grasz w karty! Tylko kobiety to twoja słabość!

— Właściwie to kobiety mają do mnie słabość! — poprawił z niedbalym humorem Kazimierz, ziewnął i usiadł przy stole, na którym siostra postawiła dwie szklanki z herbatą.

— I to racja! No, nie dziwię się im! — Rawiczówna z jakąś macierzyńską czułością pogładziła swego pięknego brata po włosach, spoglądając jednocześnie badawczo na niego. W ogóle w spojrzeniu jej, kiedy patrzyła na Kazimierza, dumą i flikiwość mieszały się z pobłażliwą ironią. Dobrze znała tego swojego braciszka, którego kochała bardzo i od dzieciństwa psuła i rozpieszczała. Dla niego wyrzekła się niejednego marzenia młodości, dla niego zakopała się w prowincjonalnej dziurze i tam przez cały dzień harowała za ladą sklepową, a po nocach robiła szluczne kwiaty, aby tylko jemu łatwiej szło życie, aby mógł bez przeszkód zdobywać majątek i świetne stanowisko. Roila sobie bowiem, że Kazimierz, dzięki swej piękności, dystrykcji i zdolnościom, wybije się szybko, że nową jakąś sławą opromieni stare nazwisko Rawiczów, no i przytem ugruntuje sobie poważną sytuację materialną. Bo Wacława Rawiczówna była nie tylko ambitna, ale i praktyczna. I ostatnie lata dały jej dużo do myślenia.

Wacława była o kilka lat starszą od brata. On był dzieckiem jeszcze, ona już podrastającą, nad wiek dojrzałą dziewczeczką, kiedy umarł ojciec i obdużona wieś poszła na licytację.

(Ciąg dalszy nastąpi.)